

Sara Neuman

## Kontrola

Była to Polska. Jedno z tych miejsc, które mieszkańcom wsi zdaje się miastem, a mieszkańcom metropolii – drobnym miasteczkiem. Tym, co łączyło je z resztą kraju, był wszechobecny smog. Nawet najbardziej naiwnym przestało wydawać się, że dusząca chmura to zwyczajna mgła. Każdy kontakt z zewnętrznym światem kończył się specyficznym, niemal permanentnym posmakiem zanieczyszczenia, którego nie zabijała ani kawa, ani wódka. Dlatego ludzie zamykali okna. Owijali się szczelnie w swoje gospodarstwa domowe. Przez ociemniałe ulice snuły się pojedyncze cienie.

Była to zima. A raczej kiedyś, lata temu, w tym miesiącu pojawiała się zima. Teraz pozostała po niej nazwa. Co prawda rzeczywiście było chłodno, jednak co ten chłód znaczył w porównaniu z mrozami dawnych czasów. Śniegu też nie było. Czasem tylko plucha, na ogół jednak deszcz. Latarnie, zapalane o wczesnej, ale zbyt późnej godzinie, migotały, usiłując przebić się przez mleczone opary i mrok. Nic z tego. Innym, jeszcze bardziej wątpliwym, źródłem światła był świeżo zamontowany elektroniczny rozkład jazdy. Numery linii wraz z godzinami odjazdu jarzyły się na zielonkawo żółty. Marek stał pod dachem przystanku, licząc, że ściany osłonią go przed wiatrem. Próbował patrzeć na gawrony oklejające zarysy drzew, ale podmuchy zmuszały go do odwracania wzroku. Trzymał ręce w kieszeniach puchowej kurtki z napisem “ZARZĄD TRANSPORTU”. Pomyślał, że nowy rozkład jazdy niewątpliwie jest znakiem czasów. Tak, wszystko się zmieniało. Tylko nie on.

Nadpłynął autobus 125 klekocząc i skrzypiąc. Kiedyś tak skrzypiał śnieg pod butami. Kiedyś, gdy było się młodym i jeździło się autobusem 125 w zupełnie innych celach. Wszedł przednimi drzwiami, przywitał się z kierowcą. Heńka znał od podstawówki, chodzili razem do klasy. Był na jego ślubie, nawet na chrzcie jego dziecka. Heniek był koniecznym elementem rzeczywistości. Bez niego życie nie byłoby takie samo, bez niego straciłby grunt pod nogami. Jednak nie rozmawiali zbyt wiele. Zwykle ograniczali się do uwag odnośnie pogody. Chyba oboje byli zbyt zamknięci albo nie widzieli sensu w szukaniu tematu rozmów.

Od niedawna kontrole przeprowadzał w pojedynkę. Kiedyś jeździło się w dwójkę, teraz miasto cięło koszty. Może to przez te elektroniczne rozkłady jazdy. W każdym razie brakowało mu kolegów po fachu. Oni akurat byli wygadani. Najczęściej opowiadali mu o rodzinie. I to jak opowiadali. Momentami czuł, jakby sam dzielił z nimi rodzinę. Tak bardzo cieszył się, gdy wnuczka Zosia wygrała konkurs recytatorski. Niemal słyszał, jak

pięknie deklamowała „Lokomotywę”. Obruszał się, gdy wnuczka Ola nie dostała się do szkoły w Krakowie. Straszne snoby rządziły w tych miastach, nie znały się na ludziach. Najpiękniej było pod koniec dniówki. Wtedy żona albo smażyła schabowe, albo piekła szarlotkę. Zdarzały się nawet takie dni świąteczne, kiedy stroiła się, aby wyjść razem do starych znajomych na kieliszek. Teraz nie było ani wnuczki, ani żony, ani w ogóle nie było nic. Gdy wchodził z takim kolegą do autobusu, jego przestrzeń dzieliła się na dwa obozy. Byli oni, kontrolerzy i cała reszta – zaniepokojeni ludzie grzebiący w kieszeniach bądź spoglądający po sobie w nerwowym milczeniu. O ile łatwiej było stawać naprzeciw ich złości, nieufności i goryczy z partnerem ubranym w tę samą granatową kurtkę z napisem. Teraz był jeden obóz, a on był jakby poza wszystkim.

Nie były to godziny szczytu. W autobusie 125 znajdowało się sześciu pasażerów. Wyczuwalny był jednak zapach starego potu i trawionego alkoholu, minieni podróżujący byli więc w jakiś sposób obecni. Na siedzeniu położonym najbliżej kierowcy siedział zwinięty mężczyzna upadły – lata temu zostawił żonę z dzieckiem i uciekł tutaj, do miasteczka, gdzie nikt go nie znał. Odkąd uciekł, nie robił nic poza pić. Tak, to prawda, pracował w tartaku, ale jego praca polegała przede wszystkim na pić.

– Witaj, Zbyszk.

– Mareczku, dajże spokój. Zlituj się nad człowiekiem. Jutro będę miał wypłatę, to kupię dwa bilety. Dzisiaj nie mam. Przecież wiesz, że kupię. Zresztą ostatni mandat zapłaciłem. Tyle pieniędzy. Skąd ja mam na to wziąć? – Zbyszek zabiadolił, zwijając się jeszcze bardziej.

– Chłopie, wiesz jakie są zasady. Nie raz ci mówiłem. Nie masz biletu, wystawiam mandat – odpowiedział stanowczo, próbując nie patrzeć Zbyszkowi w oczy.

– Wiem, wiem. Ale przecież się znamy. Wiesz, jaki jestem. Daję słowo honoru, że jutro kupię dwa bilety. Heniek nam świadkiem. – Autobus skręcił w lewo, wydając głośny zgrzyt.

– Żeby mi to był ostatni raz. – Marek machnął ręką i odszedł, choć nie wierzył w żadne słowo honoru tego człowieka.

Nie nadawał się do tej pracy. Zdecydowanie. Ale nie nadawał się też do żadnej innej. Wcale nie było tak, że z biegiem lat to, co wydawało mu się trudne, stawało się łatwe. Przeciwnie, było może nawet trudniejsze. Z coraz większą niechęcią pytał o bilet. Coraz bardziej bał się wzroku drugiego człowieka. Coraz bardziej bolały go rzucone w niego przekleństwa. Ale nauczył się znosić te trudności, weszły mu w krew. Może właśnie na tym polegało życie.

– Niech pan sobie wyciągnie bilet, bo ja nic nie widzę w tym świetle – powiedziała pani w bardzo podeszłym wieku, rozchylając portmonetkę, która wyglądała na równie wiekową. Na twarzy miała niezadowolenie właściwie wielu osobom w jej wieku i jak wielu osobom w jej wieku, bardzo trzęsły jej się dłonie.

– No, no, śmiało – staruszka ponagliła, widząc jego wahanie.

Przypominała mu ciotkę, do której jeździł na wakacje, gdy był nastolatkiem. Mieszkała na wsi, jakąś godzinę drogi stamtąd. Była nerwowa. Porozumiewała się krzykiem. Kiedyś, gdy wszedł do domu w zabłoconych butach, zbiła go kijem tak, że utykał przez tydzień. Mimo wszystko nie mógł doczekać się wyjazdów na wieś. Ciotka miała murowany dom – mały, ale wystarczało miejsca dla gości. Choć on zwykle spał w szopie na sianie. Za szopą rosła wielka lipa. Lubił ją, bo miała gałęzie rozłożone tak, że wejście na sam szczyt nie było żadnym problemem. Poza tym dobrze pachniała i lubiły na niej przesiadywać ptaki. Takie ładne, kolorowe. Nigdy nie dowiedział się, jak się nazywają. Ale trzeba było sprzedać dom, bo ciotka umarła. Kiedyś przepędzała bezpańskie psy z podwórka, przewróciła się i dokonała żywota. A przynajmniej tak twierdziła matka. Reszta rodziny mówiła co innego.

– Dzień dobry, bilet do kontroli – powiedział, podchodząc do chłopaka z wielkimi słuchawkami, które głośno trzeszczały. Chłopak wyciągnął z kieszeni bluzy wygnieciony bilet i podał go, nie odrywając oczu od okna. Może jednak Marek bardziej niż cudzego wzroku bał się jego braku? Nie wiadomo.

Otworzyły się drzwi. Marek wysiadł na przystanku, do domu miał niecałe piętnaście minut. Jeszcze raz pomachał Heńkowi. On też kończył, musiał tylko dojechać na zajezdnię. Skręcił w swoją ulicę. Wzdłuż niej rosły nieprzyjemne krzaki, między którymi szeleściły stare foliówki. Po chwili zza gałęzi wyłoniła się niewielka, wypłowiała suka. Dyszała z wyciągniętym językiem. Zawsze biegła go przywitać, gdy tylko usłyszała dźwięk zatrzymującego się autobusu.

– Łapa! Moja grzeczna psina. – Poklepał zwierzę po grzbiecie.

Łapę znalazł, gdy była jeszcze małym pieskiem. Poszedł do lasu na grzyby, bo wymarzył sobie jajecznicę z kurkami. Poza tym zawsze lubił spacerować. Ale nigdy nie miał szczęścia do grzybów. Wrócił bez kurek, za to z suką pod pachą. Ktoś przywiązał ją do drzewa. Bardzo lubili się z Łapą. Razem spali, razem jedli, razem oglądali telewizję. Rozumieli się nawzajem.

Wszedł do domu. Dom miał piętro, od dawna nieużywane. Były tam całkiem przyzwoite pokoje. W jednym stało podwójne, drewniane łóżko z namalowaną różą. Kiedyś dużo warte. Miał tam nawet jeszcze jedną, małą łazienkę. Ale na co mu było to piętro?

Bardzo chciał je wyburzyć, gdyby tylko się dało. Minął więc bezużyteczne schody i udał się do kuchni. Nie było zbyt ciepło, ale nie chciało mu się napalić. Zresztą, trzeba było oszczędzać węgiel. Szły ciężkie czasy. Zrobił sobie herbatę i odgrzał bigos. Zrobił go dzień wcześniej, jak zawsze według przepisu matki. Smakował podobnie, ale to nie było to samo. Może kapusta się zmieniła? W końcu teraz dawali inne nawozy. Tak, to pewnie to. Dokładnie wygrzebał posiłek, tak że w rondelku nic nie zostało. Wrzucił naczynie do zlewu i włączył telewizję. Nic ciekawego. Trudno było mu znaleźć coś dla siebie, więc włączył wiadomości i przyciszył je tak, że ciężko było cokolwiek zrozumieć. Podeszedł do okna, pogłaskał psa i odpalił papierosa. W oddali świeciła się pojedyncza latarnia, jedna z nielicznych działających na tej ulicy, oświetlając łyse drzewa. Tu łatwiej było patrzeć na gawrony.